

Steffen, Augustyn

Uwagi o wspomnieniach mego brata Wiktora

Komunikaty Mazursko-Warmińskie nr 3-4, 550-560

1977

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

UWAGI O WSPOMNIENIACH MEGO BRATA WIKTORA *

(Do str. 5—6) Już to, co autor pisze o „skromnej drewnianej chacie pod strzechą porośniętą mchem”, o „oborze (?)”, której spróchniałe obelkowanie (?) ugięło się pod ciężarem dachówek”, o „stodole przygarbionej wiekiem”, o wyłożeniu przez ojca ścian wewnętrznych domu warstwą cegły i otynkowaniu tych ścian dowodzi, że przy pisaniu wspomnień towarzyszyła mu bogini fantazji. Czy nie lepiej dać rzeczowy opis budynków ojca, który miał opinię wzorowego gospodarza i nawet umiał kryć dachy słomą?

Budynek szkolny, który Wiktor nazywa „rudera”, był przed tzw. „separacją” w roku 1860 siedzibą właściciela większego majątku w Sząbruku (1000 mórg). Nasz stary dom drewniany był większy.

(Do str. 8). Opowiadanie o biciu Pawła przez nauczycielkę Varias (wnioskując z nazwiska i wyglądu była ona pochodzenia litewskiego), o mojej i Wiktor interwencji przy użyciu siły i o ukaraniu nas przez kierownika szkoły, jest wysrane z palca. Takiej „roboty” nie podjęliby się nawet uczniowie źle wychowani przez rodziców, których w szkole nie brakowało. Nauczycielka znalazłaby także drogę do ks. Baranowskiego, który w owych czasach był lokalnym inspektorem naszej szkoły i, jako taki, spowodował, że nauczyciel Kranich został usunięty z Sząbruka (por. s. 7). Paweł był trudny już w wieku przedszkolnym. W szkole dokuczał nauczycielce. Nie ukarała go, lecz podeszła ze skargą na niego do mych starszych sióstr, wracających z kościoła. Podkreślała, że jest jedynym z naszej rodziny, który czyni jej przykrości. Paweł dostał ostrą reprimendę od matki; gdyby ojciec się o tym dowiedział, dostałby w skórę. Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek miała trzcinę w ręce. Wobec grupki łobuzów, która ignorowała lekcje „baby”, była zupełnie bezradna. Prosiła o ciszę podniesionym głosem, ale nie biła. Nie miała nic przeciwko rozmawianiu po polsku w przerwach i nie mówiła źle o Polakach. Później wyszła za mąż za syna naszej sąsiadki, która w ogóle nie znała języka niemieckiego. Za jej nienaganny stosunek do Polaków polskie władze szkolne przyznały jej, choć nie zaraz, emeryturę (ustnie od Wiktor w Londynie). Kierownik szkoły August Kisielnicki w ogóle mnie nie bił. Na pewnej lekcji popadł w furję i wszystkich bił trzcina po rękach. Kiedy podszedł do mnie jako do ostatniej ofiary i kazał podać rękę, zignorowałem jego żądanie i zacząłem głośno płakać. Zarumienił się, popatrzył na rozszczępioną już trzcina i wrócił na swe miejsce, zawstydzony. Poza tym, co Wiktor pisze tu o ukaraniu trójki Steffenów, jego charakterystyka nauczyciela Kisielnickiego jest zasadniczo trafna. Ze swej strony pragnę dorzucić kilka drobiazgów. Nauczyciel, wnioskując z jego kulawej niemczyzny, pochodził z polskiej rodziny. Do

* Wiktor Steffen, *Moja droga przez życie*, Olsztyn 1976, „Pojezierze”, ss. 207, nlb. 5.

seminarium nauczycielskiego chodził tylko trzy lata (ustnie od jego siostry), gdzie widocznie przerobiono go na renegata. Jego małżonka zmarła przy porodzie. Co dzień wieczorem chodził na cmentarz i szlochał nad jej grobem. Ks. Wacław Osiński, późniejszy prezes Związku Polaków w Prusach Wschodnich, który był tam duszpasterzem, widząc, że nauczyciel załamuje się nerwowo, udał się do powiatowego inspektora szkolnego (Kreisschulinspektor) i spowodował jego wyprawdzkę z Opaleńca (ustnie od ks. Osińskiego). Przeniesiono go do Sząbruka. Tutaj Kisielnicki dał się poznać jako kierownik szkoły, który nie lubił szkoły. Nie szczędził trzciny, zwłaszcza w dni deszczowe. Najbardziej znęcał się nad swą bratanicą, którą po przedwczesnej śmierci rodziców przygarnął do siebie. Torturował fizycznie słabiutką dziewczynkę na oczach uczennic i uczniów. Oprócz przytoczonych przez Wiktora powiedzeń, lubił powtarzać przy biciu „Ordnung regiert die Welt und Knüppel die Menschen”, co składniowo trąci tamtejszą polszczyzną. Albo, stojąc przed swą ofiarą, zaciskał pięści i wołał głośno: „Ich könnte dir dein Schädel zermalmen”. Przed plebiscytem, niezawodnie popychany forsą, przyszedł do mego ojca, aby odciągnąć go od jawnego występowania za przyłączeniem Warmii do Polski. Ojciec, chory wtedy obłożnie, ledwie dopuścił go do głosu. Wygarniał mu skutki kulturkampfu, traktowanie polskich Warmiaków jako ludzi drugiej klasy, konfiskowanie ziemiopłodów i rogacizny w czasie wojny, nakładanie kar przez zandarmów itd. Misja nauczyciela nie powiodła się. Wrócił do domu, jak się okazało, „ze złamanym sercem”. Następnego bowiem dnia opowiadał dzieciom w szkole o „kazaniu”, jakie usłyszał u „pewnego gospodarza”, którego namawiał głośnować na korzyść „Vaterlandu”. Poza szkołą Kisielnicki był innym człowiekiem. Nie czekał na pozdrowienie, pierwszy podnosił kapełusz i zamieniał kilka słów z każdym.

(Do str. 9). Siostra Augusta nie była świadkiem zajmowania Olsztyna przez Rosjan. Mieszkała nad „Stauwerkiem”, drugą elektrownią miejską, oddzieloną od miasta większym lasem. Jej mąż, późniejszy kierownik tej elektrowni, pełnił tam funkcję madzorcy. W nocy, podczas nieobecności męża (miał wtedy nocny dyżur), wpadło do jej mieszkania kilku rosyjskich żołnierzy. Byli głodni, chcieli jeść. Siostra wyłożyła na stół wszystko, co posiadała w kuchni. Pokrzepiwszy się jedzeniem, „Roski” dziękowali grzecznie, potem pośpiesznie spłynęli schodami do lasu. Również w czasie oczyszczania Olsztyna przez wojsko niemieckie nie było jej w mieście. O tym, co niemieccy żołnierze czynili tego dnia w Rosjanami, opowiadał nam wkrótce po bitwie zamożny rzeźnik August Lukowski, który posiadał w Olsztynie przy ul. Hohensteinerstrasse kamienicę ze sklepem z przetworami mięsnymi, własną rzeźnię i zamkniętę z wszystkich stron podwórze. W czasie odwrotu grupa rosyjskich żołnierzy, popędzana przez Niemców, wpadła na jego podwórze. Skoro tylko w bramie pokazali się niemieccy żołnierze, Rosjanie rzucili karabiny na ziemię, Niemcy zaś zepchnęli ich pod ścianę i wzięli na cel. Wtedy Rosjanie padli na kolana i błagali, aby darowano im życie. Kiedy jednak widzieli, że i to ich nie ocali, zaczęli się żegnać i modlić głośno. Jeden wzywał św. Andrzeja. August Lukowski, który był świadkiem tej sceny, wyraził zdziwienie z powodu zabicia Rosjan, którzy poddali się bez oporu, na co otrzymał odpowiedź: „Taki rozkaz wydał nasz kapitan (Hauptmann). Rosjanie zastrzelili jego konia, więc kazał nam zastrzelić wszystkich jeńców, którzy w dniu dzi-

siejszym wpadną w nasze ręce". Opowiadaniu Lukowskiego przysłuchiwałem się osobiście na naszym podwórzu.

(Do str. 9—10). Nikt nie widział balonu (!!!) ani sterowca zwanego Zeppelinem. Zeppelin opuścił swój hangar (Zeppelinhalle), oddalony o pół kilometra od mieszkania siostry Augusty, zaraz po wybuchu wojny (ustnie od szwagra). Natomiast około południa przed rozpoczęciem się bitwy na skrzydle dorotowskim posuwał się powoli i na znacznej wysokości dwupłatowiec w kierunku Olsztyna. Był to przypuszczalnie niemiecki samolot rozpoznawczy. Bitwa rozpoczęła się dopiero o zmierzchu. Nie było kanonady z dział, natomiast długotrwały odgłos strzelaniny z karabinów był zupełnie wyraźny, chociaż głuchy. Kule karabinowe nie padały na nasze pole. Ówczesne rosyjskie karabiny nie miały takiej nośności (wg Wiktora byliśmy oddaleni od pola walk tylko (?) o trzy km w prostej linii). Nie wczesnym rankiem, lecz grubo po północy ustala strzelanina. Wiktor wtedy spał u naszego sąsiada Roberta Bieńkowskiego. Wiktor pisze, że chłopcy „oglądali tam poległych i potopionych w Pasłęce i w Jeziorze Wulpińskim Rosjan”. To Wiktor „utopił” w Pasłęce, która jest rzeką niezbyt szeroką i niezbyt głęboką, rosyjskich żołnierzy, a w Jeziorze Wulpińskim i w jeziorach mazurskich „topiła” Rosjan małymia- steczkowa prasa niemiecka. Natomiast nad ranem siedmiu rosyjskich żołnierzy wlokło się naszą południowo-wschodnią granicą w kierunku obszaru naterskiego (ustnie od ojca). O tej samej porze zjawiał się w naszej wiosce rosyjski dezerterski. Sam siebie „rozbroił” w chacie należącej do zamożnego gospodarza Franciszka Bieńkowskiego. W tym samym dniu, około południa, pokazał się na sząbruckim odcinku toru kolejowego parowóz. Wywiązała się strzelanina między żołnierzami niemieckimi, którzy zeskoczyli z parowozu, i Rosjanami zakamuflowanymi w pobliskim lesie (przypuszczalnie chodziło tu o patrol rosyjski, który nie wiedział, która strona w nocy zwyciężyła). Poległ jeden żołnierz niemiecki. Dopiero wtedy kule rosyjskich karabinów mogły paść na nasze pole (oczywiście z przeciwnej strony), ale nikt tego nie udowodnił. Podczas tej strzelaniny, która była głośna, matka zgarnęła z podwórza dzieci i wszyscy schronili się w mieszkaniu.

Nie *Dürrsuppe*, lecz *Dürrgemüse*, co było piątkowym obiadem, przeklinanym na froncie zachodnim.

(Do str. 13). W związku z przygotowaniem się Wiktora do gimnazjum, muszę dodać, iż przepytywałem go tylko ja i to przez cały okres prywatnych lekcji Wiktora u ks. Baranowskiego. Wojciech uczył się wtedy w szkole czytać po niemiecku, a starszy od niego Paweł, słaby w języku niemieckim (przypominam sobie rozmowę na ten temat Kisielnickiego z ojcem), w ogóle nie interesował się nauką domową Wiktora. Także siostry nie siadały przy naszym stole i Wiktor nigdy (sic!) nie prosił ich o przepytywanie. Nie jest więc prawdą, co Wiktor pisze, że „Dochodziło do tego, że moi bracia znali prawie tyle słówek, co ja”. Znałem tylko ja. I nie tylko słówka. Po ukończeniu pracy nad zadaniami domowymi przez Wiktora zabierałem każdorazowo jego podręczniki, aby nie tylko przyswoić sobie wszystkie słówka danej lekcji, lecz także uczyć się fleksji i składni łacińskiej. Poza tym przerabiałem wszystko, co książd Wiktorowi wyznaczył. Nawet wierszy, m.in. wiersza *Am Bosphorus*, uczyłem się na pamięć. Pierwszy list, który odebrałem od Wiktora z Ornety, był krótki, ale napisany po łacinie. Kiedy zaś przybył na pierwsze

wakacje, otrzymałem od niego podarek w postaci łacińskiego modlitewnika, obejmującego także tekst mszy św. Czytałem go swobodnie, bez zaglądania do słownika. W roku 1926 (?) wychodziła za mąż siostra Katarzyna. Na ucztę weselną poproszono tylko ks. Baranowskiego, rodzinę jej szwagra F. Lukowskiego z Szafałdu (dziś Unieszewo), rodzinę Józefa Malewskiego z Szafałdu i rodzinę Malewskiego z Wyrandów (brat Józefa). Na ślub przyjechałem z Poznania, gdzie przygotowywałem się do matury gimnazjalnej. Ks. Baranowski, nawiązując do mych studiów prywatnych, powiedział wtedy Lukowskiemu, że opanowałem materiał trzeciej klasy gimnazjalnej już przed wyjazdem do Poznania. Kto mu to ujawnił, nie wiem, ale przypuszczam, że Wiktor.

Podręcznik łaciny Wiktor zostawił w domu. Toteż gdy tylko wróciłem z Ornety (matka zamówiła dla niego stancję, ja zawiiołem go do gimnazjum), przerobiłem jeszcze raz zawarty w nim materiał tak gruntownie, że egzamin z łaciny do klasy czwartej z pewnością zdałbym nie gorzej niż Wiktor. Później zabrałem się do Wojciecha. Uczyłem go początków łaciny: słówek, odmiany, przekładania zdań. Oto dlaczego Wojciech znał pewien zapas wyrazów łacińskich przed swym wyjazdem na uniwersytet ludowy w Rumii-Zagórzcu. Na egzaminie w Ornecie Wiktorowi kazano przeprowadzić dowód o trójkątach przystających, ale szybko z tym pytaniem zwrócono się do jego kolegi, Preussa. Wiktor zdarzenie to skomentował „Sic me servavit Apollo!”. Moim zdaniem należało powiedzieć: „Sic me servavit sacerdos!”. Ks. Baranowski z pewnością uprzedził egzaminatora, którego niezawodnie dobrze znał, że Wiktor takiego dowodu nie potrafi przeprowadzić. Ks. Baranowski, jak nam opowiadała jego siostra, często przygotowywał grupy chłopców, zanim otrzymał probostwo w Sząbruku. Później przestał uczyć dlatego, że żaden z nich nie poszedł na teologię. Czy lokował ich w Ornecie? Przypuszczać należy, że tak.

(Do str. 23). Powód przeprowadzki Wiktora z Ornety do polskiego progimnazjum w Lubawie jest wymysłem autora. W czasie, kiedy Wiktor wstępował do progimnazjum w Ornecie, rodzice mieli tyle gotówki, że mogli kształcić kilku. W pierwszej jednak połowie 1920 roku wartość ich kapitału zaczęła stopniowo spadać wskutek dewaluacji marki. Ks. Baranowski, który abonował prasę szwajcarską, przewidując widocznie inflację marki, zwrócił matce uwagę, że mogą nastać czasy, w których kształcenie Wiktora mogłoby zbyt obciążyć nasze gospodarstwo. Radził więc zastanowić się poważnie nad tym, czy nie lepiej byłoby zaniechać kształcenia Wiktora. Myśl ta nie podobana się matce, a ojciec też był za kształceniem. Następnego dnia matka pojechała do Olsztyna i, załatwiwszy tam sprawunki, udała się, jak zwykle, do polskiego biura plebiscytowego po „nowości”. Tam zastała Brunona Gabrylewicza i Jana Baczewskiego. Baczewski radził ułokować syna w progimnazjum w Lubawie, podnosząc, że Wiktor dostałby z funduszu naukowego komisji plebiscytowej stypendium w sumie 120 marek miesięcznie, co wtedy starczyło na opłatę czesnego i utrzymania w Lubawie. Ks. Baranowski nie był z tego zupełnie zadowolony, ale odradzać wyraźnie nie śmiał, skoro sam sprawę wycofania Wiktora z Ornety poruszył. Natomiast zadowoleni byli rodzice, głównie dlatego, że Lubawa znajdowała się w Polsce. Rodzice nie pytali Wiktora o zgodę. Kazali wrócić do domu i orzekli, że pojedzie do Lubawy. Tym, który ich decyzję przekazał Wiktorowi listownie, byłem ja.

(Do str. 45—56). O „zarządzeniu unieważnienia wszystkich wiz wydanych młodzieży, wyjeżdżającej za granicę”, które rzekomo miało się ukazać w urzędowej gazecie powiatowej „Amtliches Kreisblatt” (łatwo sprawdzić!) zaraz po świętach wielkanocnych 1924 roku, nie mi nie wiadomo. W tym czasie mieszkałem w Olsztynie, pełniąc tam funkcję sekretarza okręgowego (okręg: Warmia) Dzielniczy IV Związku Polaków w Niemczech. Zajęty byłem m. in. akcją przedwyborczą (wybory do parlamentu Rzeszy, rozpisane na dzień 4 maja). Sam głosowałem w Sząbruku i, po ogłoszeniu wyniku miejscowego głosowania w szkole, wpadłem na godzinkę do domu. Rozmawialiśmy m. in. o wyjeździe Wiktora, który, jak mogłem wnioskować z rozmowy, odbył się bez żadnych przeszkód. Wiadomo mi też, że w tym samym czasie wracali z ferii wielkanocnych także inni uczniowie, niezawodnie też bez przeszkód, skoro do mojego sekretariatu nie wpłynęły żadne zażalenia. „Finanzamt” zajmował się sprawami podatkowymi, nie wystawianiem wiz. Po wizie do Polski chodziło się do polskiego konsulatu. Paszport dawał starosta (Landrat). Niedługo Ignacy Krasicki powiedział: „Prawda, wszystko być może, lecz ja to chyba między bajki włożę”.

(Do str. 48). W liście, uprzedzającym rodziców o jego nieprzybyciu na wakacje, który czytałem, Wiktor podał za powód konieczność zarabiania na studia uniwersyteckie udzielaniem korepetycji. Faktem jednak jest, że jego sokołowskie lekcje nie były płatne.

(Do str. 72—73). Po powrocie ze Świecicia nie objąłem żadnego stanowiska w Związku Polaków w Olsztynie. Siedziałem wtedy w domu. Praktykę bankową (płatną) odbywałem najpierw w Banku Ludowym w Sztumie, następnie w Patronacie Banku Związku Spółdzielni Zarobkowych i Gospodarczych w Poznaniu, wreszcie w Banku Ludowym w Lubawie. Już w Lubawie umiałem tłumaczyć Cezara, a w języku francuskim podciągałem się znacznie dzięki półrocznym lekcjom prywatnym, dla których Wiktor, przebywający wtedy w Brodnicy, polecił mi swego przyjaciela z szóstej klasy, kiedy mój dotychczasowy „nauczyciel” wyprowadził się z Lubawy. W Poznaniu Wiktor nauczył mnie alfabetu greckiego i przerobił ze mną kilka lekcji greckiego podręcznika szkolnego dla początkujących. Nie pomagał mi przy tłumaczeniu autorów greckich, natomiast wprowadził mnie w lekturę Horacjusza odą *Sic te diva potens Cypri*, którą specjalnie przestudiował przed swoją maturą (zob. s. 46) i pomógł przegryźć się przez kilka innych ód.

Egzamin wstępny, czyli próbny, obejmował tylko trzy przedmioty drugorzędne. Po niepomyślnym wyniku udałem się do naczelnika wydziału Rychlika. Rychlik bardzo mnie żałował. Czy szczerze? Nie wiem. Faktem jest, że właśnie on pchnął mnie do gimnazjum Marii Magdaleny. Skoro był to ostatni dzień jego urzędowania (szedł na emeryturę), nic dla mnie zrobić nie mógł. Wiktor nie wie o jego odejściu, dlatego błędnie informuje czytelnika, że Rychlik nadal kręci się koło mej sprawy maturalnej. Wizytatora, ks. Binka, poznałem dopiero w Wolsztynie, w ostatnim dniu okresu maturalnego. Zamieszkał u tamtejszych sióstr zakonnych, które przygarnęły do siebie i kształciły jedną z dwu maturzystek, siostrę. Tam, w dniu poprzedzającym egzaminy ustne, przeglądał, jako przewodniczący komisji maturalnej, prace piśmienne maturzystów i ujawnił siostrze, że napisałem pracę piękną. Następnego dnia rano dziewczynka, zobaczywszy mnie na schodach uczelni, krzyknęła dowcip-

nie: „Pan już zdał maturę!”. Jej „niedyskrecja” zrobiła mi dobrze po nieprzespanej nocy. Kto skierował mnie do Wolsztyna? Rodzony brat dyrektora gimnazjum, Leona Hasińskiego (nie pamiętam jego imienia, wiem, że miał doktorat), który wówczas był urzędnikiem (wicedyrektorem?) Związku Obrony Kresów Zachodnich w Poznaniu. On to napisał list do Leona z zapytaniem, czy zechciałby przyjąć mnie na hospitanta do ósmej klasy, i uzyskał zgodę. W sprawie wyjazdu do Wolsztyna nie komunikowałem się z Kuratorium. Nie wiedziałem (i nie wiem), kto został następcą naczelnika wydziału, Rychlika. Dyrektor Hasiński oświadczył, że mogę się tylko przysłuchiwać lekcjom, ale, jeżeli będę chciał, mogę także w lekcjach partycypować. Odpowiedziałem, że wolałbym brać udział w niektórych lekcjach (lekcji matematyki udzielał mi tam prywatnie tamtejszy profesor matematyki, który uchodził za dobrego matematyka; objaśniał tak umiejętnie, że polubiłem jego przedmiot). Na lekcjach języka greckiego tłumaczyliśmy *Antygonę*. Kiedy natknięto się na trudne miejsce, prawosławny profesor zwykle zwracał się do mnie. O ile sobie przypominam, tylko jeden raz zawiodłem go.

Nie jest prawdą, że Wiktor „w każdą niedzielę dojeżdżał do Wolsztyna, aby mi pomagać w przygotowaniu się do matury”. Wiktor w ogóle nie pokazał się w Wolsztynie i, być może, nigdy tego miasta nie widział.

Uwaga Wiktora „Miał oczywiście pewne braki” etc. oparta jest na imaginalności, którą widać w licznych miejscach jego autobiografii, nie na relacji ustnej. Czy miałem braki? Na to pytanie odpowiedzieć mogliby trafnie tylko dyrektor Leon Hasiński i wizytator ks. Binek. Aby być w porządku z sumieniem, wypada mi powiedzieć, że nie byłem zupełnie bez braków. Ale kto nie miał braków? Miał je także autor autobiografii *Moja droga przez życie*, głównie w matematyce. Nie jest bowiem tajemnicą, że także w Brodnicy znał się na matematyce jak wilk na gwiazdach i z pewnością nie zostałyby zwolniony z tego przedmiotu, gdyby tamtejszy profesor matematyki nie zastosował „taryfy ulgowej”. W moim świadectwie maturalnym figurował stopień „bardzo dobry” tylko przy jednym przedmiocie. Z innych przedmiotów zgarniałem same trójki („dostateczny”). W niektórych przedmiotach może zasłużyłem na lepszą ocenę. Przy egzaminie z matematyki, który zdawałem w obecności tamtejszego profesora matematyki, dyrektora Hasińskiego i wizytatora ks. Binka, rozwiązałem zadania bez potknięcia się, ignorując podrzuconą mi w pewnym miejscu przez wizytatora (niezawodnie dla żartu!) błędną grupę cyfr. Przypuszczam, że przy ustalaniu wyników całości czyniono pewne wyrównania w ocenach. Tak przecież bywało i w innych gimnazjach. Chociaż w moim świadectwie maturalnym roilo się od niskich stopni, powiedziałem na przyjęciu pomaturalnym w domu tamtejszego prymusa, że radość moja z posiadania świadectwa dojrzałości jest większa niż suma radości wszystkich tamtejszych maturzystów. Świadectwo maturalne, takie czy inne, wróży niewiele. Pod koniec czwartego roku studiów ukazał się drukiem mój pierwszy tom pieśni ludowych z Warmii. Przewodniczący komisji maturalnej i dyrektor Leon Hasiński z jego sztabem pedagogicznym z pewnością nie żalowali, że dali mi świadectwo dojrzałości. Z wolsztyńskich maturzystów 1928 roku byłem jedynym, który w roku 1931 był autorem książki. Wiktor, w owym czasie starszy asystent Uniwersytetu Poznańskiego, nie mógł się wykazać autorstwem książki nawet ze swej dziedziny. Mój dorobek naukowy z pewnością zrobił dobrze

Wojciechowi w Rogoźnie. Dobrze zrobił także Wiktorowi. Profesor Henryk Ułaszyn, który był dowcipnym obywatelem, przeczytawszy moją książkę, gratulował Wiktorowi sukcesu naukowego.

(Do str. 72—74). Wiktor nie odradzał, lecz doradzał mi (sic!) studiować filologię klasyczną. Nie sugerował polonistyki ani historii. Język łaciński lubiłem. Jako człowiek o szerokich zainteresowaniach i zmuszony zarabiać dziennikarstwem na utrzymanie oczywiście nie mogłem poświęcić tyle czasu studiom filologii klasycznej, co Wiktor, który dzięki anielskiej trosce profesora Jana Sajdaka (Sajdak dbał o niego jak o własnego syna) zarabiać nie musiał. Faktem jest, że stale siedziałem w bibliotece filologii klasycznej. W roku 1931 spędziłem 6 tygodni w Rzymie, aby poznać tam topografię i zabytki kultury klasycznej. Po powrocie pojechałem do Rabki. Tam profesor Władysław Semkowicz, który w Krakowie widział mój pierwszy tom pieśni ludowych z Warmii, namówił mnie na studia polonistyczne do Krakowa. Powiedział, że jedzie do Warszawy i postara się dla mnie o stypendium Funduszu Kultury Narodowej. Wnet otrzymałem list od dyrektora Zarządu Funduszu Kultury Narodowej (Michalski). Pisał, abym niezwłocznie nadesłał podanie o stypendium. Przed wyjazdem do Krakowa udałem się do profesora Sajdaka, aby podziękować mu za jego życzliwy do mnie stosunek. Wtedy Sajdak powiedział tak oto: „Zrezygnuj pan z Krakowa, postaram się dla pana o dwuletnie stypendium Funduszu Kultury Narodowej na dalsze studia klasyczne w Berlinie”.

W 1939 roku nie uciekałem przez Węgry, lecz przez Rumunię. W Rumunii opiekował się mną uniwersytet w Klużu, gdzie studiowałem m. in. język rumuński. Spędziłem też kilka tygodni w Bukareszcie, przed wkroczeniem tam oddziałów niemieckich. Stamtąd udałem się na Cypr, a z Cypru do Palestyny, gdzie wstąpiłem do Samodzielnej Brygady Karpackiej. Nie awansowałem na porucznika. We Włoszech byłem w 3 dywizji, która nie brała udziału w bitwie pod Monte Cassino.

Nie podoba mi się uwaga Wiktora o motywie wyjazdu ze Szwecji, gdzie prowadziłem także wykłady historii literatury polskiej, oraz druga, o zmianie obywatelstwa. W Londynie powiedziałem mu, że miałem polskie obywatelstwo już w roku 1939. Paszport niemiecki trzymało się ze względu na rodziców. Wyjazd na Warmię na polski paszport kosztował 400 zł. Straszyla także służba wojskowa. Wiktor powiada, że marzyłem o tym, aby jeszcze wrócić na Warmię i tam pracować dla sprawy polskiej. I to nie jest prawdą. Związany byłem starszą asystenturą z Uniwersytetem Jagiellońskim, Wiktor wiedział, że chodziło mi o karierę naukową w Polsce.

(Do str. 74—75). W roku 1926 brałem udział w pewnej wycieczce krajoznawczej, której celem było m. in. zwiedzenie uniwersytetu ludowego w Dalkach pod Gnieznem. Tam dowiedziałem się, że ten typ szkoły, istniejący do dziś w krajach skandynawskich, organizuje półroczne kursy, obejmujące naukę poprawnej polszczyzny, historię Polski i inne, drugorzędne przedmioty. Pomyślałem sobie, że taki kurs przydałby się Wojciechowi, którego podstawą polszczyzny była tylko gwara warmińska, toteż po powrocie z wycieczki udałem się do dyrektora uniwersytetów ludowych, ks. Antoniego Ludwiczaka. Ludwiczak, który w roku 1919 pełnił funkcję kierownika Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego, chętnie wyraził swą zgodę na przyjęcie Wojciecha, jednak na uniwersytet ludowy w Rumii-Zagórz na Kaszubach. Na moją uwa-

ge, że wolałbym mieć brata bliżej Poznania, odpowiedział, że właśnie zapadła uchwała zlikwidowania uczelni pod Gnieznem. Ze swej strony podniosłem, że jeszcze nie mam zgody rodziców, ale jestem pewien, że rodzice nie będą się sprzeciwiać. Zapisałem datę rozpoczęcia się nowego kursu w Rumii-Zagórz, a ks. Ludwiczak przyrzekł, że o ewentualnym przybyciu Wojciecha uprzedzi tamtejszego kierownika uczelni. Po pewnym czasie pojechałem do domu na wakacje. Pomówiłem z Wojciechem, który entuzjastycznie ustosunkował się do mego pomysłu, następnie przedstawiłem sprawę ojcu. Patriotyczny ojciec zgodził się chętnie. Matce też podobał się mój pomysł, tym bardziej że kurs był bezpłatny. Postanowiłem osobiście zawieźć Wojciecha do Rumii-Zagórz. Kierownik uczelni i jego małżonka przyjęli nas serdecznie. Mąż proponował mi nocleg, małżonka prosiła na kolację. Następnego dnia pojechałem do Poznania. Po kilku tygodniach odebrałem pierwszy list z Rumii-Zagórz. Poleczona Wojciecha była poprawna. Jego list sprawił mi wielką radość.

Po ukończeniu kursu Wojciech wrócił do domu. Ojciec, myślący o przekazaniu gospodarstwa Pawłowi i o zabezpieczeniu sobie i matce dobrego mieszkania na ostatni okres życia, postanowił wybudować nowy dom mieszkalny, z cegły. Wojciech był potrzebny przy budowie, pomagał majstrom. Było już grubo po wprowadzeniu się do nowego domu, kiedy zapytałem Wojciecha, czy zechciałby iść do seminarium nauczycielskiego i zostać nauczycielem. I ta myśl podobała się Wojciechowi. Przedstawiłem sprawę jego przyszłości ojcu, powiedziałem, że gospodarstwo dostanie Paweł, a Wojciech, jeżeli nie pójdzie do seminarium nauczycielskiego, nie będzie miał zawodu; jeżeli pójdzie, zostanie nauczycielem i będzie miał zawód dobry. Ojciec przyznał mi rację i przyrzekł pomówić z matką. Następnego dnia rodzice zakomunikowali mi swą zgodę. Wiktora wtedy nie było na wakacjach.

Sprawę ulokowania Wojciecha w seminarium nauczycielskim mogłem załatwić za pośrednictwem Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech. Jan Baczewski, który był jego prezesem, zrobiłby to dla mnie chętnie. Ale ja nie chciałem prosić Baczewskiego. Wróciwszy do Poznania, prosiłem Wiktora, aby udał się do jednego z dyrektorów seminariów nauczycielskich, podkreślając, że z nim, jako asystentem uniwersytetu, dyrektor rozmawiać będzie inaczej niż ze mną. Pojechał więc do Wągrowca, do dyrektora Karaśkiewicza. Po powrocie opowiadał mi, że początkowo dyrektor odmówił przyjęcia Wojciecha. Pod koniec rozmowy pytał Wiktora o jego zawód. Kiedy się dowiedział, że jest asystentem Uniwersytetu Poznańskiego, przyjął Wojciecha. Tyle z ust Wiktora.

Po ukończeniu pierwszego roku studiów i otrzymaniu promocji do klasy drugiej Wojciech wystąpił z seminarium nauczycielskiego. W następnym roku, grubo przed letnimi wakacjami, odebrałem od niego list. Nie tańł poczucia, że zrobił źle. Drugi list dostałem od najstarszego brata, który prosił mnie, abym pomógł Wojciechowi wybrnąć z kłopotów. Pojechałem więc do Wojciecha i zapewniłem go, że zrobię wszystko, aby znowu ulokować go w seminarium. Ale sęk w tym, że tym razem sprzeciwiali się rodzice i to bardzo stanowczo. Tak stanowczej odmowy nie spodziewałem się zwłaszcza od ojca, który dotychczas, w sprawach ważnych, zawsze stawał po mojej stronie. Rozmowa trwała kilka godzin i czasami przypominała kłótnię. Sypałem argumentami, ale ojciec uparł się. Dopiero po powiedzeniu rodzicom pewnego zdania,

którego nie chciałbym tutaj powtórzyć, złagodniał i powiedział tak: „Jeżeli chcesz opłacać jego studia, to bierz go”. Wiedząc, że warunek ojca był rodzajem „dyplomatycznego” wycofania się z jego stanowiska, odpowiedziałem bez namysłu: „Tak, będę płacić”.

Nazajutrz udałem się z Wojciechem na przechadzkę. Przechadzaliśmy się po szosie między lipami. Pytałem o sprawy pieniężne rodziców. Wojciech zapewniał, że w domu nie brak pieniędzy i że hodowla świń, która była konikiem matki, daje dobre dochody. Tam uzyskałem od niego uroczyste przyrzeczenie, że skoro tylko dam mu znać telegraficznie, zapakuje swoją odzież i pojedzie do seminarium, nawet wbrew woli rodziców. Następnego dnia wybrałem się do Olsztyna, aby spotkać się z siostrą, która w sprawach dotyczących się przyszłości naszego rodzeństwa potrafiła przełamać tajemnicę rodzinne. Pogoda była niezła, zaproponowałem przechadzkę do lasku miejskiego zwanego wtedy „Stadtwald”. W drodze pytałem o powód zajętego przez rodziców stanowiska w sprawie Wojciecha. Jej odpowiedź była krótka i brzmiała: „Wiktor”. Jasne było dla mnie, że korespondencyjnie doradzał rodzicom, aby nie posyłał Wojciecha do seminarium nauczycielskiego. Dlaczego? Aby przypodobać się matce, która nie lubiła wydawać pieniędzy? Albo mnie na złość? Nie wiem.

Wróciwszy potem do Poznania, udałem się do zawsze życzliwego mi dyrektora Związku Obrony Kresów Zachodnich, Mieczysława Korzeniewskiego, oczywiście w sprawie Wojciecha. Prosiłem, aby pomógł mi ulokować go w seminarium nauczycielskim w Wągrowcu. Pierwsze zdanie, które padło z jego ust, brzmiało tak: „My obecnie kierujemy kandydatów z Niemiec do seminarium nauczycielskiego w Rogoźnie”. Wojciech, ponieważ przekroczył wiek, musiał teraz mieć zgodę Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Co do przyjęcia przez dyrektora, Korzeniewski był pewny. Nie pamiętam, w którym miejscu spotkałem Wiktora. Przybrawszy minę troskliwego brata, powitał mnie pytaniem: „No, a jak sprawa Wojciecha?”. Odpowiedziałem spokojnie: „Nie tak, jak doradzałeś”. Ostupiał i zaniemówił. Obustronne milczenie przerwałem uwagą, że Wojciech wprawdzie musi uzyskać zgodę ministerstwa. Wiktor zaproponował zredagowanie podania. Po nadejściu zgody ministerstwa Wojciech dostał wiadomość i udał się wprost do Rogoźna. Rodzice zęgnali go ciepło. Matka wiożyła mu do garści pieniądze na bilet kolejowy, na opłatę czesnego i na utrzymanie. Dyrektor, który miał dobre serce, popatrzył na jego wzrost i ulokował go w klasie trzeciej z tym, że jednocześnie przerabiał będzie materiały klasy drugiej. Po kilku tygodniach Wojciech wpadł do Poznania. Była to niedziela. Odprowadzając go na dworzec kolejowy razem z Wiktorem, podawałem mu 25 zł. Wiktor zastawił mnie plecami i dał mu 75 zł. Widziałem w tym gest dobrej woli, nie kalkulację, że lepszy jest ten, który więcej daje.

Letnie wakacje spędzałem po części w Rabce. Mieszkałem w „Kresówce”, willi należącej do Związku Obrony Kresów Zachodnich. W tym samym roku czy w następnym zastałem tam, jako gości dyrektora Korzeniewskiego, nieznanego mi dotąd pana i jego córkę. Ktoś przedstawił mi go jako dyrektora seminarium nauczycielskiego w Rogoźnie. Dyrektor nie dosłyszał mego nazwiska, ale dosłyszała córka, gdyż na moją uwagę, że w tym seminarium uczy się mój brat, zapytała zdziwiona: „To pan jest bratem Wojciecha?”. Dy-

rektor Kisielewski nie mówił, jakoby znał Wiktora. Być może, że poznał go, ale później.

Wiktor milczy o tym, że w studiach Wojciecha była roczna przerwa, którą „zafałt” dobroduszny dyrektor Władysław Kisielewski, i miesza fakty obu okresów studiów Wojciecha. Sprawę Wojciecha przedstawił w taki sposób, aby czytelnik odniósł wrażenie, że zwód nauczycielski Wojciecha jest jego zasługą. Gdyby nie moja troska o jego przyszłość, moje braterskie zabiegi u rodziców i wygranie sporu z rodzicami, po którym długo towarzyszył mi niesmak, Wojciech zostałby bez zawodu i po śmierci ojca byłby zmuszony obracać się wśród zgermanizowanego elementu wiejskiego, który głośno wołał: „Polaków trzeba bić nie kijem, lecz drągiem”.

Nie jest prawdą, że Wojciech jest o głowę wyższy od Wiktora. Może być wyższy o cal, albo o dobry cal.

(Do str. 88). Nie Pawła, lecz mnie nauczyciel Kisielnicki zatrzymał w klasie po ukończeniu ostatniej lekcji, mianowicie za niedbale napisane wypracowanie (Aufsatz). Miałem powtórzyć to samo w ciągu jednej godziny. Ten rodzaj kary, stosowany dość często, nazywał się *Nachbleiben* i, przepisowo, wymagał obecności nauczyciela w klasie. W moim przypadku Kisielnicki poszedł na obiad, a po obiedzie, jak zwykle, zapadł w drzemkę, która przekształciła się w twardy sen. Po długim czekaniu ukazała się w drzwiach siostra nauczyciela. Pytała, dlaczego siedzę w klasie, i, dowiedziawszy się, o co chodzi, niezwłocznie postawiła na nogi nauczyciela. Kisielnicki przyszedł, zaspany i przeżarty. Wypuścił mnie z „aresztu”. Nikt po mnie nie przyszedł. Wszyscy, także nasi rodzice, wiedzieli, że dziecko zostało zatrzymane w szkole, jeżeli nie wróciło do domu o zwykłej porze. Kiedy wróciłem do domu, była godz. 16. Stałem przed matką zawstydzony. Ojciec być może dowiedział się o tym dopiero w łóżku. Ojciec nie poszedłby po syna. Sam bywał zatrzymywany po lekcjach, kiedy chodził do szkoły. Nauczyciel miał wyrzuty sumienia, gdyż wyrządził krzywdę komuś z naszej rodziny. Aby sprawę załagodzić, podszedł następnego dnia do mnie i powiedział, że taka widocznie była wola Boga.

(Do str. 113). To prawda, że w kilka dni przed śmiercią matki pojechałem do Olsztyna. Jechałem jednak przez Iławę. Urzędnik paszportowy, który dawniej obchodził się ze mną szorstko, poprosił o paszport i, oddając dokument, powiedział „Danke schön, Herr Professor”. Z jego grzeczności wnioskowałem, że miał dosyć hitleryzmu. Matka, rozmawiająca już tylko słabym głosem, wyraziła obawę z powodu mego przybycia. Uspokoiłem ją odpowiedzią, że nic mi nie grozi. Nocowałem u siostry Augusty i chciałem wrócić do Krakowa dopiero po pogrzebie. Następnego dnia udałem się do Banku Ludowego, aby zobaczyć się z Juliuszem Malewskim. Tam (czy w jego mieszkaniu?) otrzymałem poufną sugestię z polskiego konsulatu, aby natychmiast wracać do Krakowa. Skoczyłem do matki, aby się pożegnać. Na dworzec kolejowy odprowadzała mnie siostra Basia, z którą, aby nie była świadkiem ewentualnego aresztowania mnie na dworcu kolejowym, pożegnałem się w połowie drogi. Wracając do Polski tą samą drogą, mianowicie przez Iławę. W tym samym pociągu jechała sekretarka konsulatu polskiego, p. Marta Szajkowa. Konsul Jałowicki posłał ją do Iławy, aby się dowiedzieć, co Niemcy tam ze mną zrobią. Z urzędu rewizji paszportowej udałem się wprost na peron, gdzie stał pociąg do Polski. Tam zbliżył się do mnie gestapowiec i prosił o paszport. Zoriento-

wawszy się, że jestem asystentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, zapytał głośno i brutalnie: „Jak to, pan ma niemiecki paszport i jest urzędnikiem polskiego uniwersytetu?”. Odpowiedziałem mu podniesionym głosem i nieco arogancko: „Proszę pana, jestem Polakiem urodzonym na Warmii, ale wykształconym w Polsce. Pani Hübner jest lektorką języka niemieckiego tego samego uniwersytetu, chociaż jest Niemką z Berlina i też ma paszport niemiecki”. Moja odpowiedź zaskoczyła go. Oddając paszport, usprawiedliwił się, powiedział mianowicie, że pytał mnie o to tylko „nebenbei”. Pytałem, czy mogę wejść do przedziału. „Aber natürlich” — odpowiedział. Sam otworzył drzwi przedziału i sam je zamknął. Scenie tej przyglądała się p. Marta Szajkowa, mieszkająca obecnie w Leicester, Broad Ave 40, Anglia. Jechałem do Polski w długim pociągu. Byłem tam jedynym pasażerem. W Toruniu trzeba było czekać na pociąg do Krakowa via Poznań. Tam napisałem list do Wojciecha. Radziłem nie jechać na pogrzeb, natomiast sugerowałem, aby namówił Wiktora. Wiktor miał polski paszport. Nie jest więc prawdą, że wstąpiłem do Wiktora. Nie jest też prawdą, że wracałem przez Gdańsk.

(Do str. 118—119). Wspomina Wiktor, iż w czasie pierwszej wojny światowej organizowano po wsiach komisje, kontrolujące zapasy żywnościowe u chłopów. Otóż wójt Hermann nie należał do komisji. Należał do niej sołtys, który zwykle pocztą pantoflową uprzedzał gospodarzy o mającej się odbyć rewizji. Hermann (Edward), właściciel majątku w Sząbruku, nie zrobiłby krzywdy mojemu ojcu, który przed wojną razem z najstarszym bratem Joachimem wyświadczył mu wielką przysługę, za co ojcu był niesłychanie wdzięczny i szczerze go szanował. Pochodził z polskiej rodziny (jeden z jego synów powiedział po przemówieniu ks. Rudolfa Nowowiejskiego na polskim wiecu przedplebiscytowym, na którym też byłem obecny, tak oto: „Mój ojciec jest Polakiem, moja matka jest Niemką”), z mieszkańcami Sząbruka rozmawiał po polsku i był człowiekiem uprzejmym i uczynnym. Jego ubocznym zajęciem było nauczanie gospodarzy nowoczesnej uprawy roli. Hermann nie brał udziału w propagandzie przedplebiscytowej po żadnej stronie. Nie był on bratem biskupa-sufragana Edwarda Hermanna, jak podaje Wiktor, lecz jego bratanikiem. Ganswind został wójtem dopiero po wojnie. Ziemiaki odebrał nam żandarm Vogelreuter. Nie obliczał na podstawie wbicia szabli (do tego Vogelreuter, b. zawodowy kapral czy sierżant był za głupi), lecz kazał wynieść ze sklepu cały zapas i odważyć w sieni. Nadwyżkę, wynoszącą około 50 proc., ojciec musiał odstawić do Olsztyna. Sklep był wyłożony cegłą. Vogelreuter przyszedł sam. Dopiero później zaczęły chodzić komisje, złożone z gospodarzy naszej parafii, którzy nigdzie nic nie znaleźli i których nikt się nie bał.

Augustyn Steffen